

Oniryczna podróż przez Krainę Czarów

Dawniej nie lubiłem Alicji w Krainie Czarów. Bynajmniej nie była to wina samej Alicji, nie chodziło o to, że chłopiec nie potrafił się identyfikować z dziewczynką bo potrafił. Polubiłem Dorotkę i resztę dziwnych postaci wędrujących po Krainie Oz, Alicji jednak przetrwać nie mogłem, świat stworzony przez Lewisa Carrolla był dla mnie zbyt psychodeliczny. Krainy Czarów nie rozumiałem tak bardzo, że umieściłem ją gdzieś na krańcach własnego pałacu wyobraźni, obok okładek Pink Floyd i obrazów Zdzisława Beksińskiego.

Ciekawe, że dzisiaj bardzo sobie cenię Alicję i Krainę Czarów i Pink Floyd i oczywiście twórczość Beksińskiego. To właściwie moje ulubione zjawiska. Tak – chciałbym kiedyś zobaczyć interpretację Alicji w Krainie Czarów z muzyką Watersa, wypełnioną obiektami z obrazów Mistrza z Sanoka. To by było combo – niczym batonik posmarowany Nutellą, popity czekoladą.

Muszę przyznać, że interpretacja Alicji zaproponowane przez studentów wydziału lalkarskiego wrocławskiej filii PWST w Krakowie była namiastką takiej słodkości. Wersja może nie przesadnie błyskotliwa muzycznie, nie tak mroczna ale posiadająca to, za co kocham Alicję – zdolność niemal narkotycznego wciągnięcia widza w opowieść, co zawdzięczamy – po pierwsze onirycznej koncepcji scenariusza, po drugie – znakomitym warstwom technologicznym i wizualnym, po trzecie – znakomitym zdolnościami aktorskimi.



Ilustracja 1: Gigantyczna stonoga w Czerwonej Księdze C.G. Junga

Alicja w Krainie Czarów to spektakl psychologiczny ale w nieco nietypowym sensie. Twórcy zabrali nas w podróż po krainie leżącej na styku ludzkiej podświadomości i czarów. Jestem przekonany, że taka granica istnieje – znajdziemy jej opis w Czerwonej Księdze C.G. Junga. Psycholodzy a w szczególności psychoanalitycy zawsze poszukiwali prawdy o człowieku w magicznym świecie, jeżeli nie wprost magicznym to czarodziejskim w kontekście naszej kultury lub seksualności.

Zatem Alicja w sztuce Jerzego Bielunasa spaceruje przez krainę własnej (widza?) podświadomości a to co widzi jest odrobinę bardziej zadziwiające niż to co zrodziło się w umyśle Carrolla. Wydaje mi się, że ów efekt możemy zawdzięczać starannej selekcji scen, które trafiły do spektaklu. Bielunas skupił się na motywach onirycznych. W tej wersji Alicji... co krok trafiamy na sugestie oniryczności całej sytuacji – dłoń w domu Królika, dziwne wyniki działań matematycznych, czy ręka bohaterki przenikająca przez ciało Gąsienicy. Sam Pan Gąsienica, który w oryginale wydaje się być personifikacją narkotycznych wizji (fajka wodna, grzyb na którym siedzi, senny głos postaci), w inscenizacji jest już jedynie fantastyczną postacią, wydaje mi się - ugrzecznioną – ale za to jak przygotowaną! Pan Gąsiennica obserwuje wszystko co się dzieje dookoła dzięki obręczy gałek ocznych, kołysząc się na szczycie kostiumu, sam kostium rozciąga się pionowo, co

wzbudziło zachwyt widzów. Pomysłowość kostiumów to, moim zdaniem, najmocniejszy punkt spektaklu – Królik (na szczudłach do skakania), Kot, Królowa, Gąsienica, Żółwiciel i moja ulubiona postać – Mysz (w wersji giga) wyglądały jak ze snu.

Również w warstwie aktorskiej spektakl prezentował się imponująco – studenci wydziału lalkarskiego zrobili użytek ze swego warsztatu artystycznego. Publiczność zachwytem przyjęła scenę, w której Alicja kurczy się po zjedzeniu ciasteczek. Aktorka grająca tytułową bohaterkę stała się na chwilę lalką kontrolowaną przez kogoś ukrytego z tyłu, zyskała dzięki temu ruchy postaci z dziecięcych filmów animowanych. Pozostali aktorzy również czuli się na scenie niczym Żółwiciel w wodzie. Całość przedstawienia – tak aktorstwo jak i scenografia przykuwała uwagę dynamiką i płynnością ruchu – momentami w rolę Alicji wcielało się kilka aktorek, dzięki czemu widz miał złudzenie nadnaturalnej szybkości akcji lub onirycznego rozdwojenia postaci.

Jedynym elementem spektaklu, który powodował u mnie pewien niedosyt jest muzyka Szczepana Pospieszalskiego. Nie wiem czy problem tkwił w niedostatkach akustycznych budynku, nagłośnienia, czy aranżacja piosenek była prymitywna? Sam fakt odtwarzania muzyki z playbacku można usprawiedliwić ale spektakl, który był tak dopracowany aktorsko i plastycznie zasługiwał na coś więcej niż zrealizowane na szybko utwory.

Na pochwałę zasługuje koncepcja scenariusza – odbiorcy otrzymali Alicję klasyczną, czyli odczytaną na nowo (!). Dotąd wszystkie znane mi interpretacje książek Lewisa Carrolla wydają się mocno wzorować na starej, disnejowskiej animacji; tymczasem Jerzy Bielunas dokonał własnego wyboru – sięgnął nie tylko po najbardziej rozpoznawalnych bohaterów ale i tych pomijanych w innych adaptacjach; pokazał sceny (i piosenki), które dotąd znaleźć można było chyba jedynie w tekście. Do całości dodał młodzieńczą energię i entuzjazm świeżo upieczonych adeptów sztuki lalkarskiej, piękną oprawę wizualną i stało się to co stać się musiało – otrzymaliśmy prawdziwą ucztę wyobraźni. Zero animacji, zero komputera. Wszystko osiągnięto dzięki pracy rąk ludzkich i talentowi aktorskiemu. Wychodząc ze spektaklu doszedłem do wniosku, że naprawdę nie potrzebujemy kina przeładowanego efektami specjalnymi by zachwycić się i zanurzyć w opowieści.

Reasumując. Alicja w Krainie Czarów zaproponowana przez studentów PWST otrzymuje ode mnie mocną szóstkę. Nawet jeżeli moja skala obejmuje oceny od jeden do pięć. Chociaż muzyka mogłaby być lepiej przygotowana.

Ilustracja pochodzi z The Red Book – Carl Gustav Jung (Nowy Jork, Londyn 2009), strona 29.